Nr 46. We Lwowie dnia 14. listopada 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

TEODOR TOMASZ JEŻ.

Czterdzieści lat temu w r. 1857 zaczęły się w „Gazecie Warszawskiej“ ukazywać korespondencje z Konstantynopola nowego, nieznanego jeszcze wówczas ogółowi pisarza, który się podpisywał literami T. J. Wrażenie, przez nie wywarte, było bardzo żywe i przysporzyło dziennikowi wielu nowych prenumeratorów. W trzy lata potem Juljan Bartoszewicz, pisząc swoją Historję literatury polskiej, a wiedząc już, że owe litery oznaczały Teodora Tomasza Jeża, czyli Zygmunta Miłkowskiego, w słowach pełnych gorącego uznania przedstawia owo niepowszednie zainteresowanie się nowym talentem. Pisał on między innemi: „Miłkowski nienaśladowany jest w swojem malowidle. Z jego powieści i korespondencji lepiej poznajemy współczesne Węgry, Multany, Wołochy i Serbów, lud wreszcie na Rusi, jakby nie z jednej historji. Talent gawędzenia w Miłkowskim znakomity. Bierze najprostszą rzecz, naprzykład taniec węgierski i obrazuje go tak żywo, tak długo, że dziwimy się, jak można obszerną taką o niczem tyradę wypowiedzieć; ale autor ciska w gawędzie swojej tak dużo iskier dowcipu, tak jest śmiało wesoły, tak żartobliwie poważny, że mimowolnie i tu porywa za sobą czytelnika.“

Bartoszewicz uwydatnił tu jedną stronę świeżego, jędrnego talentu, stronę formalną, rzucającą się naprzód w oczy i zdobywającą sobie zwolenników odrazu. Że ta strona z początku istotnie najwięcej była cenioną, że ona wyjednała utworom Jeża poczytność i popularność, to nie ulega wątpliwości. Czasy, w których Jeż wystąpił na widownię piśmienniczą, były bardzo łakome na wszelkie nowości stylowe. Zalety wszakże formalne nie wyczerpywały bynajmniej talentu Jeża, było w jego pismach wśród belletrystycznej bezbarwności, lub nawet bezcelowości, jaka się nieraz w owej dobie przejawiała, coś, co zmuszało nieprzeparcie do wsłuchiwania się w głos autora, do roztrząsania jego myśli, do głębszego nad niemi zastanowienia się. Tą wewnętrzną dźwignią utworów Jeża była podniosła idea demokratyczna, przewijająca się srebrzystem pasmem poprzez cały wątek jego twórczości.

Interesa ludu, tak zwanych klas niższych, uciśnionych, wystąpiły u Jeża na plan pierwszy, wypowiadały się z całą potęgą. Nie było to sielankowo-romantyczne lubowanie się w rzeczach ludowych, jakie widzieć można u beletrystów dawniejszych, co po dyletancku zachwycali się miłemi obrazkami zagród wiejskich, słodyczą i prostotą obyczajów sielskich lub też gwałtownością, nie konwencjonalną, czarnobrewych dziewic... Nie był to również gorączkowy, a więc chorobliwy entuzjazm chłopomanów, którzy pod wpływem niejasnych mrzonek chcieli się zniżać do klas majątkowo i umysłowo upośledzonych, wmawiając w siebie, że tym jedynie sposobem można zerwać z fałszem i zepsuciem klas niby — ucywilizowanych, a przynajmniej wypolerowanych..

Jeż bynajmniej nie chciał ludu idealizować. Znał on dobrze zarówne wady jak i zalety swoich ludowych bohaterów i bohaterek; wad tych przed czytelnikiem nie ukrywał, owszem z całą dobitnością, sobie właściwą, przedstawiał je szczegółowo, bez usprawiedliwień sofistycznych, bez strojenia ich w sztuczne aureole. Nie wyrywał osób tych ze sfery życia praktycznego, aby je mieścić gdzieś na wyżynach niedojrzanych. Są to ludzie zwyczajni, których pewne tylko okoliczności wynoszą czasami nad poziom powszedniej krzątaniny około potrzeb życia codziennego. Ważność ich polega na czem innem. Wydobywa się ona z wnętrza samego mas wielkich, nieobliczonych, które mają *prawo* do

używania wszystkich korzyści, jakie cywilizacja z sobą przynosi, a które odejmują im przesąd, egoizm, lub zepsucie klas uprzywilejowanych. Ażeby im przyznać to prawo, nie potrzeba litości ani filantropji, nie potrzeba sentymentalnie tkliwych popędów serca: potrzeba tylko szanować *człowieka*, znać swoje obowiązki i cele, ku którym życie narodowe kierować się powinno. Chcąc jasno zrozumieć całą doniosłość takich poglądów, trzeba pamiętać, że Jeż wypowiadał je i przedstawiał plastycznie wtedy, gdy w znacznej części ziemi dawnej Polski trwały stosunki pańszczyźniane, a w niektórych poddańcze, na zupełną samowolę „dziedziców" wystawione. Takiemi myślami przepełnione są początkowe powieści Jeża: „Wasyl Hołub," Hańdzia Zahornicka." „Historja o prapradziadku'" „Wrzeciono" i inne.

Obok tego zajęcia się dolą ludu, powieściopisarz miał na ciągłej uwadze ogół narodu, jego losy przeszłe i teraźniejsze, przyczyny jego osłabienia i potrzebę skrzepienia organizmu. Oczywiście jak dla każdego powieściopisarza, tak i dla Jeża wady ludzkie najwięcej dostarczały materjału do obrobienia, ale Jeż malował te wady nie dla celów czysto artystycznych, ani też dla znęcania się nad społeczeństwem, ale w zamiarze wskazania drogi ku lepszemu.

Brak prawdziwie dobrego wychowania, które psuje po większej części zbyt wielka pobłażliwość lub próżność matek; nizki poziom oświaty; zepsucie młodzieży, która, nie umiejąc sobie znaleść pola działania, gnuśnieje w bezczynności lub grzęźnie w błocie; brudne samolubstwo, rozpowszechniające się wśród sfer bogatych; nieposzanowanie godności narodowej i gonienie za wyłączną osobistą korzyścią w jakimkolwiek kształcie — oto główniejsze wady, jakie Jeż w całym szeregu powieści wytknął ogółowi mężczyzn.

Co do kobiet — zarzuca im brak samodzielności, brak nauki, brak istotnego zrozumienia ciążących na nich obowiązków. Typy: kwiatka w pączku, kobiety z kluczykami i chustką dla ucierania nosów malcom, lub jaskrawej aż do szatanizmu zalotnicy – najczęściej w życiu i w powieściach się napotykają. Cieplarniana atmosfera salonu nie dozwala rozrosnąć się ani prawdziwemu uczuciu kobiety, ani jej umysłowym zdolnościom. Kokieterja, chorobliwa sentymentalność, lnb wyrafinowana zmysłowość — oto główne skutki dotychczasowego trybu wychowania. Nie braknie wszelako i dodatnich wyjątków w powieściach Jeża, w których kobieta nietylko poczuwa się do obowiązków obywatelki, lecz potrafi je spełnić z poświęceniem uczuć osobistych. Taką jest matka bohatera „Uskoków", taką jest Rasa w „Rycerzu chrześciańskim" i kilka innych.

Jeż popierał zawsze wyższe wykształcenie kobiet i dążność do t. zw. równouprawnienia, rozumie się, w zakresie właściwym każdej płci.

Mężczyzna i kobieta — powiadał — „są to dwa skrzydła, na których ludzkość ku przyszłości swojej żegluje, ku doskonałości podąża; potrzeba i dla nich, jak dla skrzydeł — równowagi".

Żaden podobno z naszych powieściopisarzów nie był tak gorącym, tak stanowczym i tak wytrwałym jak Jeż, rzecznikiem obowiązku. Wszystkie uczucia, wszystkie pragnienia podporządkowuje on temu wielkiemu przykazaniu. Szereg takich utworów, jak: „Historja o praprawnuku", „Szandor Kowacz". „Asan', „Pierwsze boże przykazanie", „Drugie boże przykazanie", „Pani komisarzowa", „Krwawe dzieje", „Uskoki", „Rycerz chrześciański", „Wnuk Chorążego", że pominę wiele innych — głośno, dobitnie i wymownie wpaja w czytelników to przekonanie, że ten tylko na szacunek i cześć zasługuje, kto spełnił swój obywatelski obowiązek.

To też nie można się dziwić, że miłości indywidualnej nie poświęca powieściopisarz kart wielu. Nie dlatego bynajmniej, żeby ją lekceważył, owszem — pojmuje ją i przedstawia bardzo rozumnie.

„Mniemam — powiada on w jednej ze swych powieści — że miłość jest bardzo poważną w społeczeństwie potęgą, nawskróś moralną, ale niemniej przeto rzeczywistą, czysto-ludzką i bardzo czystą. Człowiek jej potrzebuje jak powietrza do oddychania, potrzebuje zespolić się uczuciem, aby miał prawo być istotnym społeczności ludzkiej członkiem, aby miał prawo być człowiekiem. Kto nie kochał, ten nim jeszcze nie jest, a kto z miłości żarty robi — ten człowiekiem nigdy nie będzie: zostanie albo zwierzęciem, albo maszyną, t. j. albo krwią — ducha w sobie zaleje, albo też zatopi się w jakiejś specjalności, która go w formułę zamieni".

Prawdziwa miłość nie odrywa od pracy, ale do niej pobudza, nie staje na przekór obowiązkom, ale w nich znajduje swe dopełnienie. Odnieść zwycięstwo nad szałem zmysłów, nad rozigraniem wyobraźni, w tym celu, aby nie mieć przeszkody w pracy dla dobra ogólnego: oto bohaterstwo, które Jeż lubi opromieniać najwyższem uznaniem. Bo — jak powiada — „najpiękniejszą jest cnota, a najpiękniejszym cnoty objawem jest poświęcenie się dla dobra współbraci. Poświęcić majątek, czas, życie, rozum, dla wszczepienia w ogół szlachetności przekonań, to mi ideał, który warto bohaterstwem zaszczycić! — ale nie idealizowanie jakichś miłostek, salonowych lub alkowianych intryg i artystycznych rojeń.."

Surowe pojęcie obowiązku, zachęta do pracy wytrwałej a sumiennej, gorące pragnienie sprawiedliwości zarówno dla poszczególnych warstw, jak i dla całych narodów, trzeźwość myśli, powierzanie spraw życia rozumowi, nie wyrzekającemu się wpływów prawdziwego uczucia — sumieniu, niezamąconemu fanatycznemi doktrynami, nawiązywanie nici sympatycznych z lepszemi tradycjami przeszłości, nawoływanie do nauki gruntownej, jako najlepszego drogowskazu w postępowym pochodzie człowieczeństwa — oto uczucia i poglądy, które w najróżnorodniejszej formie ożywiają utwory Jeża, zarówno powieściowe, jak publicystyczne i historyczne.

Z tego szkicowego zarysu głównych cech twórczości Jeża łatwo wywnioskować, jak wielkie znaczenie miały i mają pisma jego dla naszego społeczeństwa i jak wiele pożywnej karmi dostarczają one umysłowi Szkoda, że dotychczas utwory te, luźnie wydawane w publikacjach, które, niestety, z handlu księgarskiego już wyszły, nie są zebrane razem; a wiele jest takich, co nigdy nie pojawiły się w formie książkowej. Ogłoszenie zbiorowego wydania wszystkich pism Jeża, a choćby tylko wyboru najcelniejszych, byłoby rzeczą wielce pożądaną i stanowiłoby cenną pamiątkę czterdziestoletniej z górą działalności naszego autora.

Wydawnictwo takie powinno być tanie, ażeby udostępnić jego nabycie szerszemu ogółowi. My, co tak lubimy naśladować cudzoziemców, naśladujmy ich w tem, co mają rzeczywiście dobrego, kiedy dzieła swoich znakomitości pisarskich w nowych wciąż edycjach rozpowszechniają. Nie gońmy za samemi tylko nowościami.

Piotr Chmielowski.

Godfryd Ossowski.

1842 r. ujrzał świat boży — na Wołyniu. Ojciec miał małą posiadłość z kamieniczką w Żytomierzu i jako szlachcica oddał go do korpusu kadetów w Kijowie, założonego za pieniądze szlachty polskiej. Godfryd wyszedł stamtąd porucznikiem, ale lichym znawcą mowy ojczystej, którą mu dano zapomnieć w szkole mikołajowskiej. A że od pierwszych lat młodości, miał zamiłowanie w naukach, pierwsze więc prace swoje ogłaszał w języku rosyjskim i ukraińskim, któremi obu władał znakomicie. W pierwszym dał się poznać z rozpraw statystycznych o Wołyniu; w drugim napisał parę udatnych obrazków scenicznych z życia Zaporożców.

Towarzystwo Grozy, Prusinowskiego, jenerała Kaczkowskiego, Apolla Korzeniowskiego i Kraszewskiego, którzy w drugim dziesiątku, drugiej połowy bieżącego wieku ogniskowali ruch literacki w Żytomierzu, nie pozostało bez wpływu na dalszy kierunek prac i karjerę naukowo polską Godfryda. Kilkanaście lat żmudnych trudów i własnej samopomocy tyle dokonały, że w epoce wojny prusko-francuskiej wstępuje już w szranki pracowników nauki polskiej, której podwoje otwarło mu autorstwo „Mapy geologicznej Wołynia“, dorównywującej wartością swoją najznakomitszym tego rodzaju pracom włoskim. Odkrycie minerału nazwanego przezeń „Wołynitem“ i bogatych pokładów labradorytu, tudzież w ogóle bogactw kopalnych Wołynia zainicjowało w tamtych stronach ów poważny ruch ekonomiczny, który w niespełna jednej generacji do niepoznania zmienił stosunki przednieprzańskie, tworząc bogactwo społeczeństwa i jednostek.

Uśmiechał się Ossowski do tej zmieniającej się fizjonomji stron ojczystych, dumnym był z tego ruchu, do wywołania którego pierwszy się przyczynił, ale w nim udziału nie brał, trzymając się zdala od wszelkich codziennych spraw życia.

Poślubił naukę z całym zapałem swej duszy energicznej, łamiąc przeszkody w zdobywaniu jej etapów z tą żołnierską wytrwałością, jakiej nabył za młodu. Że zaś gorące miał serce dla braci, ztąd i ambicja służenia im tą pracą w mowie ojczystej i w otoczeniu rodaków. Po mapie Wołynia wzbogaca literaturą naukową polską również dziełem pomnikowem: „Mapą archeologiczną Prus Wschodnich“ i około 1877 roku przenosi się na stały pobyt do Krakowa, gdzie natychmiast wchodzi w bliższą styczność z Akademją Umiejętności i wkrótce zostaje jednym z najdzielniejszych jej filarów. Przez całe następne dziesięciolecie, zapełniają się cennemi pracami jego wszystkie roczniki Akademji, która mu corocznie powierza prowadzenie w kraju i zagranicą ekspedycji geologicznych i archeologicznych: koszta takowych w znacznej części pokrywa Ossowski, z własnej kieszeni. Najważniejszemi w owych ekspedycjach były badania jego jaskiniowe w Tatrach i pasie krakowskim, zwłaszcza w Mnikowie i Ojcowie. Tysiące wydobytych tam wyrobów krzemiennych i z kości kopalnej, w oświetleniu odpowiednich komentarzy Ossowskiego rzucają niespodziane światło, na istnienie kultury na ziemiach naszych, przed kilkunastu tysiącami lat i wywołują w całej Europie przewrót naukowy, a jednocześnie w Krakowie — *jalousie du metier*. Pewien weterynarz z zawodu, obdarzony tytułem i godnością naukową archeologa, dzięki temu tylko, że był zięciem wielkiego

człowieka i jednego z głębszych filozofów polskich, nie mógł ścierpieć, aby — jak się wyrażał — „ktoś obcy wdzierał się w jego atrybucje“ i zbierał w nauce plony, których istnienia nawet nie przeczuwano, skoro wszyscy dyletanccy poprzednicy Ossowskiego, kopiąc płytko lub nieumiejętnie, jako pozbawieni wiedzy geologicznej — niczego przedtem dokopać się nie mogli w tychże samych jaskiniach. Rozpuszcza więc pogłoskę po Krakowie o sfabrykowaniu tych wyrobów przedhistorycznych przez samego Ossowskiego z pomocą najętych chłopaków, którzy kozikami mieli wystrugiwać nie tylko okazy z miękkiego wapienia naciekawego, ale i z tak twardego materjału, jak krzemień lub kość kopalna. Jowjalnie i humorystycznie przedstawiona bajka poczęła się szerzyć i znajdować wiarę, najpierw w sferach bliższych nieuków, a później i szerszej, obcej specjalnemu wykształceniu publiczności.

Tymczasem uczeni francuscy, zaciekawieni doniosłością odkryć, o których sprawozdania rozbiegły się po całym świecie, przybywają do Krakowa, aby osobiście poznać Ossowskiego i rozpatrzyć się w jego wykopaliskach.

Były ferje letnie, które uczony nasz zwykle spędzał na ekspedycjach i wycieczkach naukowych. Zaniepokojony plotkami, starał się być ostrożnym i wyjeżdżając z Krakowa, zabrał z sobą klucze od szaf tej sali Akademji Umiejętności, gdzie się mieściły wykopaliska jego, w obawie, aby pod nieobecność jego nie spłatano mu figla i nie podrzucono istotnie falsyfikatów.

Ale ta właśnie przezorność zgotowała mu jeszcze cięższe zmartwienie. Gdy uczeni francuscy weszli do sali Akademickiej z szafami oszklonemi Ossowskiego i prosili o otworzenie takowych, oprowadzający ich eks-weterynarz z miną na poły tajemniczą, a na poły ironiczną zawołał z uśmiechem:

— Tak długo leżały te zabawki w jaskiniach, że się boją światła codziennego, aby ich nie uszkodziło, nie skruszyło.

— Jak to? — zapytano.

Cicerone niewinnie ręce rozkładając, a następnie układając je jak Piłat:

— Ja tu nic nie mogę mówić, niech powie *vox populi*.

Przywołano paru ludzi, czy podstawionych umyślnie, czy istotnie suggestjonowanych powyższemi plotkami, i ci stwierdzili, jako znają chłopaków, którzy strugali te zabawki.

Francuzi z rozczarowaniem spojrzeli raz jeszcze na witryny szklane szaf, pokiwali głowami i odjechali. A niebawem pojawiły się w gazetach i miesięcznikach naukowych francuskich artykuły o falsyfikatach mnikowskich i ojcowskich.

Ossowski zażądał od Akademji wysadzenia *ad hoc* komisji rozpoznawczej, co uczyniono tem skwapliwiej, że obok czci uczonego widziano zaangażowany w tem honor Akademji i nauki polskiej. Komisji (złożonej między innymi — o ile pamiętam — z Kopernickiego, Kirkora, Sadowskiego, pono Łuszczkiewicza, a nawet i Łepkowskiego), nie trudno było obalić całej śmieszności zarzutu i stwierdzić autentyczność i głęboki wiek wykopalisk. Do tego nie potrzebowała ona posługiwać się procederem śledczych komisji sądowych i przywoływać tych robotników, którzy pod kierunkiem Ossowskiego dokonywali rozkopów: sam sposób wyrobów, krystalizacja pirytów i całość cech chemiczno-geologicznych, wystarczały w zupełności.

Tryumfem nauki i Ossowskiego zakończona sprawa, nie uśmierzyła wszakże powziętej przeciw niemu niechęci i zawiści, owszem, podnieciła ją jeszcze bardziej.

Ossowski tak głęboko był zagrzebany w swoich badaniach, tak daleko stał od spraw życia codziennego, tak obojętną była dlań polityka, że kiedy w 1885 r. wybuchła rewolucja filipopolska i w ustach wszystkich brzmiały imiona Battenberga i Krestawicza, Ossowski zapytywał: kto to taki Aleksander bułgarski?

Jakież tedy zdziwienie ogarnęło wszystkich, znających go bliżej, gdy pewnego wieczora został aresztowany pod zarzutem zdrady stanu. Było to dziesięć lat temu, w piękny wieczór wrześniowy, kiedy piszący te słowa, odwiedziwszy Ossowskiego w jego jaskiniach Ojcowskich i zajechawszy z nim po drodze do malarza Pruszkowskiego w Mnikowie, razem z nim odprowadził Godfryda do jego pomieszkania, niedaleko Akademji, przy ul. Sławkowskiej w domu Lenerta. Zmrok już zapadał, kiedy drzwi się nagle rozwarły i wszedł do mieszkania na czele kilku detektywów i żołnierzy policyjnych, komisarz Swolken i pokazawszy rozkaz dyrektora policji, Englisza, przystąpił natychmiast do rewizji. Trwała ta rewizja godzin kilka aż do północy, przetrząśnięto wszystkie rzeczy, suknie, zbiory naukowe i w końcu ze stosami listów i papierów zabrano i samego Ossowskiego.

Poczciwy Dr. Majer — prezes Akademji, zawiadomiony o tem, już miał telegrafować do arcyksięcia Karola Ludwika, jako protektora Akademji, gdy wpierw popróbował osobiście interweniować u Englisza. Udał się tam nad rankiem i — rozminął się w drodze z Ossowskim, którego jednocześnie wypuszczono na wolność, po spisaniu protokołu. Englisz pokazywał list z denuncjacją, w którym zaznaczono, że Ossowski z nadgranicznego pasu galicyjskiego zdejmuje plany dla Hurki i że w tym celu przyjeżdżają do niego pułkownicy i jenerałowie moskiewscy. Cóż się pokazało? Ossowski z czasów swojej młodości wojskowej miał wielu w armji moskiewskiej kolegów, którzy się dosłużyli rangi pułkowników i jenerałów;

z tych paru, wyjeżdżając za granicę do wód, wstępowało w Krakowie odwiedzić tamtejszego kolegę. Inkryminowane zaś plany były planami badanych przezeń okolic jaskiniowych, a wszystkie były odbijane w rocznikach Akademji.

Zdawało się, że kwestja ta raz na zawsze została załatwiona, jako przykry. przypadkowy epizod w życiu. Bynajmiej. W następnym roku powtórzyła się ta sama historja. A gdy Englisz usunął się z zajmowanego przez długie lata stanowiska, nowy szef policji, który mniej jeszcze od poprzednika znał Ossowskiego, tem skwapliwiej dawał posłuch nieustającej denuncjacji. Rewizje wciąż się powtarzały, a pod ich wpływem ten i ów w Krakowie dawał się słyszeć z takiem zdaniem:

— Coś tam musi być naprawdę, — skoro policja wciąż szuka. Rozgoryczony Ossowski postanowił dobrowolnie usunąć się z miejsca, gdzie nie znalazł poszanowania swego stanowiska, ani zabezpieczenia potrzebnego mu spokoju. Instytucjom polskim rozdał cenne zbiory swoje naukowe, z których lwią część dostało muzeum tatrzańskie im. Chałubińskiego w Zakopanem, spakował resztę rzeczy i wyruszył na dobrowolne wygnanie na Sybir. Może w tak dalekich stronach spodziewał się rychlej zatrzeć niemiłe wspomnienia, a może też przy tem i nęciła go nadzieja nowych zdobyczy naukowych w kraju, mało zbadanym Przyjął ofiarowane mu stanowisko naukowe w świeżo założonym uniwersytecie w Tomsku, gdzie też po paru latach zgasł przedwcześnie, trawiony goryczą i tęsknotą za krajem. *n—i*

Eliza Orzeszkowa.

SITECZKO.

(Dokończenie).

W sypialnym pokoju różowo i srebrnie. Łóżka rzeźbione, gotowalnia w koronkach, jak w śniegu, edna wielka lampa pod zasłoną pali się na gotowalni, druga, mniejsza, w kącie pokoju błyska. Rozglądam się, przypatruję, aż raptem ktościś, jak obejmie mię rękoma z całej siły, jak okręci mną po pokoju, niby w walcu, jak zacznie mnie całować w głowę, w twarz, w uszy, to tylko już obie lampy jak iskry przedemną migotały, a w uszach dzwoniło: cha, cha, cha! cha, cha, cha! I co pan powie? sama zaczęłam śmiać się, taka ucieszna ona była i śliczna. Co tam działo się przy mierzeniu kostjumu tego panu i opowiadać nie będę: tysiąc pociech. Bardzo była z niego zadowoloną, a kiedy napowrót ubrała się w swoją codzienną sukienkę i pokładła na siebie wszystkie swoje broszki, paski, bransoletki, mówi do mnie: — Stań tu, duszeczko, a ja drzwi trochę otworzę i pokażę tobie mojego męża i mój salon!

Zrobiłam, jak kazała, bo nie tyle salonu, ile męża bardzo byłam ciekawą. Piękny, nie ma co mówić, piękny mężczyzna, wspaniały. Ryżawy blondyn, wysoki, z rękoma jak mleko białemi. Stał o kolumnę jakąś oparty i rozmawiał, temi białemi rękoma poważne giesty robiąc. Po tych giestach tylko poznać już było można takiego, co rozkazuje. A naokoło, w salonie białym i złotym, aż ćmi się w oczach od ubrań mężczyzn, których ze dwudziestu może było. Jedni chodzą, drudzy stoją, siedzą, wszyscy rozmawiają. Gwar. Na stołach lampy, u ścian kinkiety ze świecami, posadzka błyszczy, przy oknach firanki aksamitne, w malowanych wazonkach kwiaty. Parada! Patrzę, słucham, a ona, za mną stojąc, w samo ucho mi szepce: „Widzisz, duszeczko, dziś u nas proszony obiad. Mąż wydaje go dla tych panów. Oni wszyscy włóczą się za mną i żeby nie wiedzieć ile kobiet było, ja u nich zawsze pierwsza, królowa. Mnie to bawi, ale jak tylko który zadaleko się posunie, zaraz figę odemnie dostaje. Męża kocham, skandalu się boję, brudów nie cierpię.

Potem za rękę mnie wzięła i przez dwa pokoje, z których w jednym bawiło się z boną dwoje dzieci, do jadalnej sali przyprowadziła. Tam, oprócz długiego, pięknie nakrytego stołu, stał bufet, wokoło którego kręcili się lokaje, i na ziemi srebrne wiaderko pełne lodu, z którego sterczały butelki z winem szampańskiem. Do bufetu mnie pociągnąwszy, zaczęła mi kieszenie wypychać i kosz, w którym kostjum jej się znajdował, napełniać przysmakami. Daremnie broniłam się, gniewałam, prosiłam, aby tego nie robiła; naładowała mi mnóstwo pomarańcz, cukierków, ciastek, poczem znowu wycałowawszy mnie, do gości pobiegła, ale w progu sali jadalnej spotkała się z małą córeczką, którą, gdy na ręce wzięła, obie szczebiotać do siebie zaczęły. Ja zaś stałam, tego ich szczebiotania słuchałam, cościś nogi do ziemi mnie przykuło i w oczach czułam szpilki. Kiedy przez sienie czarnego wejścia przechodziłam, znowu za jakąś ścianą, czy z za jakichś drzwi, jak wiatr z podwórza, buchnęło na mnie z tego mieszkania: cha, cha, cha! cha, cha, cha! Do domu wróciwszy, długo myślałam: a-a-a-a! a-a-a-a! hm, hm! i w oczach miałam szpilki, ale potem pomyślałam sobie: a no! machnęłam

ręką i poszłam kompresy choremu mojemu malcowi do nogi przykładać.

Potem ze trzy miesiące nie widziałam już jej wcale. Panna Róża chodziła do niej z sukniami, które była zadysponowała; ona zaś za każdym razem mówiła pannie Róży, że niegrzeczną i niedobrą jestem, gdy sama do niej nie przychodzę, ale że ona nie gniewa się i najpewniej, najpewniej do mnie którego dnia na długą gawędę przyjedzie. Nie przyjechała, a gdy wszystkie stroje były już zrobione i odniesione, znowu przestałam o niej wiedzieć i słyszeć. Nic dziwnego! Cóż ja wobec niej? Przytem — siteczko!

Dopiero przed kilku dniami, kiedy ciepło na świecie robić się zaczęło, przysłała lokaja z prośbą, aby panna Róża do niej przyszła, bo chce wiosenne suknie dać do roboty, a sama przyjechać nie może, trochę niezdrową będąc. Panna Róża zaraz poszła i przyniosła na początek fular francuski, bardzo ładny i drogi.

— Prosiła — mówi do mnie panna Róża — aby suknia była za tydzień; dla przymierzenia zaś sama przyjdzie.

— A kiedyż chora — mówię.

— E! śmieje się panna Róża — jej choroba lepsza, niż nasze zdrowie. Zobaczy pani, jak ona wygląda!

I prawda. Kiedy dziś z karety wyskoczyła i tu wbiegła, myślałam, że to sama wiosna przez drzwi wlatuje. Zdaleka widział ją pan nieraz, ale trzeba ją znać tak, jak ja znam, aby osądzić, co to jest za cudowne wyglądanie! Przecież ma 30 lat, albo i 31, wiem o tem dobrze, a któżby dał jej więcej nad 18, no... najwyżej 20? Czoło gładziutkie, jak u młodej dziewczyny, usta pąsowe, oczy błyszczące. I wszystko u niej takie foremne, giętkie, młodziutkie, jakby jej nigdy nic ani ukłóło, ani uszczypnęło, ani zmroziło, ani upiekło. A przecież, proszę pana, tego kłócia, szczypania, mrożenia i pieczenia tyle na świecie, że jak tu, zdaje się, wykręcić się od nich? Wykręciła się i, trzydziestkę minąwszy, ośmnastoletnią pozostała. Na wiosnę jeszcze kolorów, blasku oka i żywości ruchów jej przybyło, tak, że kiedy błękitny fular w różnokolorowe desenie do przymierzenia włożyła i w pracowni przed lustrem stanęła, wszystkie moje panny aż ręce poskładały i rozdziawiły usta. Bardzo była zadowoloną z sukni, śmiała się i gadała.

— Duszeczko, jak ty ślicznie tę suknię zrobiłaś! Jak doskonale stanik s i e d z i!

Ale za małe było dla niej lustro, co wisiało w pracowni, istotnie za małe, bo tak jest wysmukła; więc ją do tego oto pokoju, przed to stojące zwierciadło przyprowadziłam, ażeby już dobrze od stóp do głów obejrzeć siebie mogła. Oglądała się też dobre kilka minut, chwaliła stanik, mówiła, że mąż będzie ją w tej sukni bardzo lubił, bo faworytalnym jego kolorem jest błękitny, a wykręcała się przytem na wszystkie strony, figurę swoją oglądała, włosy poprawiała, bransoletami dzwoniła, kolczykami błyskała... raptem podniosła troszkę oczy i wypadkiem na odbity w zwierciadle ten portret spojrzała. Widzę ja to i myślę sobie: pozna ona ten portret, który niegdyś tak lubiła, czy nie pozna? Widzę: patrzy ciągle, ręce opuściła, o sukni zapomniała. Troszkę jakby pobladła, usta jej otworzyły się, potem rękę, jak długa, ku górze aż wyprężając, na portret pokazała i wymówiła: „Pan Stefan!“ Pocichu to wymówiła, jak przez sen, bardzo już zbladła, i usta jej drżeć zaczęły.

— Co pani?... — zaczęłam pytać się, ale nie skończyłam, bo ona oczu, które otwierały się coraz szerzej, z odbijającego się w lustrze portretu nie spuszczając, schwyciła mię za rękę i tak mocno ścisnęła, że ledwie z bólu nie krzyknęłam.

— Jak on na mnie patrzy! — zaszeptała — jak on okropnie na mnie patrzy!

Troszkę cofnęła się, oczy rękoma zasłoniła i jak krzyknie: „Tatku!“ to aż mnie w samo serce ukłóło, aż podemną nogi zastrzęsły się, a moje panny w pracowni usłyszały i wszystkie zbiegły się tu przestraszone. Takim głosem krzyknęła, jakby stracha przed sobą zobaczyła, albo jakby nagle ktoś nożem po sercu ją ciął; przytem zachwiała się, zemdlała i ledwieśmy z panną Różą i z panem zapobiedz mogli temu, aby na ziemię nie upadła. Widziałeś pan, jak po otrzeźwieniu z omdlenia, gdyśmy w pracowni ją przebrały, przebiegła przez ten pokój taka blada, że aż usta jej były blade, ze spuszczonemi oczyma, prędko, prędko, niby od czegoś uciekając. Nie pożegnała się ze mną i na nic nie spojrzała, a o sukni to już, zdaje się że zapomniała zupełnie. Możnaby myśleć, że ktoś raptem kolory z twarzy jej starł, powieki do oczu przykleił i zaśrubował usta. Tak do karety wsiadła i pojechała. Ach, jak zmartwiona jestem tym wypadkiem! Ale co jej się stało? Jezus Marja! co jej się stało? — nie wiem, nie rozumiem. Może pan zgadniesz?

Oto i panna Róża sukienkę córeczki pana niesie. Już gotowa.

Japonja jako czynnik międzynarodowy.

(Dokończenie).

Konkurencja Wschodu, Japonji i Indji, a szczególnie tych ostatnich, przygnębiająco wpływa na angielski przemysł. Podług danych izby handlowej Manchesteru, 67 przędzalni Lankasteru, owego centrum angielskiej baweł-

nianej produkcji, ponosi znaczne straty, równające się 411.000 f. szt., tymczasem 31 japońskich przędzalni w okręgu konsularnym Osaka Jogo, daje przeciętnie 17% dywidendy.

Angielskie wytwory przemysłu odznaczają się wytwornym gatunkiem. Lecz nie jakość, ale taniość decyduje o powodzeniu towaru na rynkach dalekiego Wschodu. Towar lichego gatunku, ale tani i jaskrawy znajduje tam zbyt. Japończycy szczególniej odznaczają się umiejętnością wytwarzać tanio, dzięki czemu wypychają anglików z azjatyckich rynków.

W 1881 r. Anglja wysyłała do Chin i Japonji na 48 milj. funt. szt. ba wełnianych wyrobów. po upływie lat dziesięciu wywóz ten spadł do 20 miljonów.

Oprócz tego wzbudzającego podziw powodzenia w czterych głównych gałęziach produkcji, Japonja na międzynarodowym rynku zaznaczyła się zadziwiającą taniością wytwarzania znacznej ilości przedmiotów. Np. japońskie zapałki, produkcja których zwiększyła się dziesięciokrotnie w ciągu lat dziesięciu, wycisnęły europejskie zapałki z rynków Chin, Australji i Stanów Zjednoczonych, a nawet znalazły się na rynkach Austrji. Zapałki te nie odznaczają się dobrym gatunkiem, lecz ładnem opakowaniem i taniością: 144 pudełek kosztują koło 90 centimów (45 centów). Należy też zaznaczyć olbrzymi wywóz parasoli z Japonji (wywóz ten w 1883 r. = 75775 sztukom 1893 — miljon, obecnie przeszło 2 miljony) i szybki rozwój jej jedwabnej produkcji (miljon chustek jedwabnych wysyła Japonja do Anglji).

Jak szybkim jest rozwój ekonomiczny współczesnej Japonji dowodzi to szybki rozwój jej zewnętrznego handlu. Gdy w 1887 r. wywóz Japonji równał się 52,407.681 jonom (jona — 5 frankom) w 1815 — 136,112.148, a przywóz wzrósł z 44 mil. do 129 m. W zewnętrznym handlu z Japonją coraz silniejszym daje się zauważyć udział Niemiec.

Maszyny najnowszej konstrukcji, zbudowane w Europie lub Ameryce, najracjonalniejsze metody wytwarzania możemy dziś spotkać w Japonji. Około 500 różnych towarzystw, operujących cudzoziemskimi kapitałami, dźwiga rozwój przemysłowy Japonji. Kapitał płynie na Wschód azjatycki, bo znajduje tam niewyzyskane źródło produkcji i gęstą ludność.

Trudno obecnie określić wszystkie skutki rozwoju ekonomicznego Japonji. Porażka, której zaczyna doznawać Anglja na Wschodzie w walce ekonomicznej z Japonją, zmusza Anglję zadzierzgnąć bardziej ciasne węzły ekonomiczne z kolonjami i wyrzec się w znacznej mierze zasady wolnego handlu. To nam objaśnia, dlaczego Anglja nie odnowiła traktatu handlowego z Niemcami.

Rozwój handlu i przemysłu Japonji, to rozwój jej finansów państwowych, to rozwój jej armji i marynarki.

Japonja ma 40 miljonów ludności, gdy się stanie pierwszorzędną siłą ekonomiczną, będzie ona jedną z poważniejszych sił politycznych na kongresie wszechświatowym.

Wł. Studnicki.

Arnold Boecklin

przez

OLĘ HANSONA.

(Ciąg dalszy).

II.

Ten spokój jest wspólną cechą böcklinowskiej indywidualności i utworów, znamieniem obojga, czemś, co ich pozytywną właściwość tworzy i odróżnia od wszystkich innych w teraźniejszość. Ta cecha istniała już w najpierwszych pracach mistrza, na obrazie, gdzie młodzieniec i młoda kobieta, Böcklin sam i jego narzeczona, ręka w rękę przez krajobraz kroczą, a z latami, podobnie staremu winu, nabrała zapachu i pełności tak, że w jednem z ostatnich dzieł malarza-filozofa w „Czterech porach życia" jedną z najpierwotniejszych alegorji życiem i poezją natchnąć zdołała.

Jeśli się jednem spojrzeniem obejmie całą bogatą różnorodność Böcklinowskich obrazów i ujmie się je wspólnie w ogólne wrażenie, to otrzyma się właśnie obraz i uczucie spokoju, harmonji i wypoczynku.

Jeżeli się cały pstry szereg umysłów, reprezentujących teraźniejszość, w ich osobach i ich dziełach przed oczami przesunie, to prócz zmiennej różnorodności wrażeń pozostanie tylko jedno wspólne uczucie, mianowicie braku zaokrąglenia, wykończenia i brak owego spokoju, który jest tak głębokim i czystym, że zdaje się, iż go zdobyć nie można, bo raczej jest spokojem instynktu niezamąconego od początku nigdy i w niczem — spokojność, która się od bytu odłącza, gdy ten ze wszystkimi swymi kontrastami przejawi się w jedną jedyną indywidualność, a która staje się udziałem rzadkiego człowieka, co zdołał wszystko to opanować i posłuszne do nóg swoich rzucić jak poskromione wzrokiem dzikie zwierzę.

Jako pierwszy w tym szeregu występuje Nietsche. To jest człowiek — jedyny w swo-

ich czasach — który w głębi swego najistotniejszego „ja“ przez najstraszniejszą z walk i najboleśniejszą z przemian indywidualnych, pokonał stary pogląd na świat i zastąpił go nowym.

Jego radość z tego dzieła przemieniła się w lirykę, w której potężnych, oceanowych rytmach wszystkie inne poezje teraźniejszości giną niedosłyszalne, jakby ich nigdy nieodegrano. Ale spokoju niema w jego radości, spokoju prawdziwego zwycięzcy niema tam. On jest wielkim bohaterem kultury, ale bitwę za ludzkość wygrał przez najfatalniejsze dla własnej osobistości ze wszystkich zwycięstw pyrrhusowych i nie może tego nigdy zapomnieć. Jest coś we wspaniałym hymnie zwycięstwa, co zgrzytem się odzywa, indywidualność bowiem, na której grał, jest rozbitym instrumentem. Jestto pieśń dziękczynna rekonwalescenta, która pełna jest jeszcze echa jęków i skarg przesilenia. On jest wspaniałą w sobie apoteozą człowieka-pana, która jednakże znajduje wtór w najzłośliwszej i najzdradliwszej ze wszystkich uraz, w urazie do własnego ja.

Pogląd przekształcił się przez indywidualność; stary pogląd poszedł w okruchy i nowy urósł; ale indywidualność przytem się rozprysła. Poezja Nietschego jest jak potężny utwór orkiestralny na cześć zarathustrowego spokoju osobistego, ale sama nie jest tym spokojem.

Chciałaby być tym spokojem jako najwyższym ideałem; ale nie jest nim; przedstawia go, uwielbia go, tęskni do niego, ale nim nie jest; twierdzi, że go posiada, wie, że tak się rzecz niema, ale stara się, aby sama i inni zapomnieli o tym braku. W głęboko ukrytej świadomości tego braku jednakże gnieździ się uraza, a niezdolność schwytania wiecznie uciekającej Dafny wiedzie w tym apostole silnego i pełnego życia do uraźliwego uwielbiania wrogich życiu i samobójczych instynktów.

A jakiemże jest usposobienie ducha, z którem widzi się zapadającą zasłonę przed jednym z ibsenowskich dramatów — usposobienie, które się z sobą z teatru do domu zanosi? Naturalnie jest ono złożone z wielu czynników, które równocześnie są rozmaite w każdym z osobna utworze; lecz główny rys usposobienia pozostaje ten sam, zawsze bowiem ten sam żywioł przewodzi i ton nadaje. Jestto wrażenie wewnętrznego niezadowolenia, wrażenie niepokoju — to samo wrażenie, które się odnosi przy drobnych przeciwieństwach codziennego życia za każdym razem, gdy się stanie oko w oko z zawikłaniem bez wyjścia, z konfliktem bez rozwiązania, jednakże tu nieskończenie zaostrzone, tu zawikłanie bowiem i konflikt opierają się na dziedzinie najwewnętrzniejszych i najwyższych zagadnień życiowych. Jestto wrażenie ciężkości — tej ciężkości, która w rdzeniu i sercu daje się odczuwać, jeśli tam wewnątrz coś się zaplątało na węzeł, który się rozwiązać nie daje, gdy nie rozchodzi się i rozprowadza po istocie pożywna treść, gdy się z nią nie asymiluje. Jestto pewnego rodzaju duchowa niestrawność, jeśli taki gminny wyraz ma być dozwolonym. Ibsen sam przy przerabianiu i formowaniu swoich tematów ma pewien spokój; ale nie jest on tego rodzaju, aby nam, innym, bezpośrednio jako nasz własny się udzielił. Nie jestto wszechspokój, spokój wszystkiego, gdy się do spokoju ułoży w momentalnym obrazie w indywidualnej duszy; jestto tylko spokój absolutnego sceptyka, owa najsubtelniejsza i najbardziej wyszlachetniona forma obojętności. Ibsena pogląd na świat, to znak zapytania, sławny ibsenowski znak zapytania: mogło to być dla niego rozkoszą postawić go i zapewne przytem doznawał w sobie wysokiego spokoju duchowej twórczości, chwili narodzin, całokształtu; ale dla nas innych jestto niczem innem, jak znakiem wewnętrznego niepokoju. Każdy dramat ibsenowski jest cząstką dzieła rozkładu: a ogólny skutek jego prac daje negację całokształtu. Niewątpliwie Ibsen w wyższym stopniu, niż ktorykolwiek inny współczesny poeta traktował treść czasów naszych w jej całości i jak nikt inny, ugrupował ją w jej wielkich proporcjach i radykalnych przeciwieństwach; ale przytem rozkładał ją część po części, zamiast ująć w jeden ogólny organizm, w którym nowy embrjon przyszłości mógłby wyróść. (C. d. n.).

Wiadomości bibljograficzne.

„Szkice społeczne“. I Nędza i miłosierdzie. II. Hygjena i życie. III Kobieta. IV. Samobójstwo. *Zenon Pietkiewicz*. Wydawnictwo z zasiłku kasy im. dr. Mianowskiego. Warszawa. 1898.

„Co nam Prus powiedział“. Złote myśli, wybrane z dzieł Bolesława Prusa przez *Marję Jones Szatańską*. Nakład Wizbeka. 1897.

„W kraju tysiąca jezior“ Z podróży i przechadzek po Finlandji. *Stanisław Belza*. Wydanie drugie. Nakład Gebethnera i S-ka. Warszawa — Kraków. 1897.

Z drukarni Z. Golloba.